



Tadeusz Batyr

SPOWIEDŹ NIKOSIA

zza
grobu

Pierwsza biografia **Nikodema Skotarczaka**
ojca chrzestnego trójmiejskiej mafii

SPOWIEDŹ
NIKOSIA z za grobu

Tadeusz Batyr

SPOWIEDŹ NIKOSIA z za grobu

Pierwsza biografia Nikodema Skotarczaka,
ojca chrzestnego trójmiejskiej mafii

ZONA ZERO

Okładka
Fahrenheit 451

Zdjęcie na okładce
Viacheslav Iakobchuk©Fotolia.com

Zdjęcia na 4 stronie okładki
© Mikołaj Bujak

Wszystkie fotografie w niniejszej publikacji pochodzą
ze zbiorów Tadeusza Batyra.

Redakcja i korekta
Barbara Manińska

Dyrektor projektów wydawniczych
Maciej Marchewicz

Skład i łamanie
TEKST Projekt

ISBN 978-83-950193-9-5

Copyright © by Tadeusz Batyr
Copyright © by Zona Zero Sp. z o.o., Warszawa 2018

Wydawca
Zona Zero Sp. z o.o.
ul. Łopuszańska 32
02-220 Warszawa
tel. 22836 54 44, 877 37 35
faks 22877 37 34

www.zonazero.pl
e-mail: wydawnictwo@zonazero.pl

*Nie znam duszy zbrodniarza, znam natomiast
duszę człowieka porządnego – jest straszna.*

Blaise Pascal

Spis treści

Wstęp.....	9
I Śmierć w burdelu.....	13
II Jeden z wielu.....	21
„Nikoś” – syn Nikodema.....	24
Giganciarze z PRL-u.....	30
Śmierć, śmierć i nowe życie.....	47
Chachary „Pięknego Ricardo”.....	68
W stronę grupy przestępczej. Milicja, sportowcy i milicyjni sportowcy.....	79
III Mafia w polskim wydaniu (1982–1985).....	93
Dobrzy do więzień, źli do roboty.....	95
Prekursorzy.....	98
Trzecioligowy parking.....	106
Ludzie „Gruchy”.....	110
Drugoligowy sukces.....	119
Ekstraklasa.....	125
Mafia? Tylko w peerelowskim wydaniu.....	137
Grupa recepcji.....	168

Anonse.....	175
Kurialna poligrafia	177
Parszywy los „słupa”	179
Tysiąc rocznych pensji.....	183
„Turbo” donos – koniec gangu, początek legendy.....	186
Koniec pierwszego etapu polskiego	193
IV Wypędzony.....	209
„Gruby”	214
Najemnicy i rekruci	220
Tak kradli	230
Rzeczpospolita Wyrozumiała.....	233
Marek Sikorski.....	263
Cień śmierci	271
Ścigany	275
Ostatni akt.....	281
Zakończenie	289

Wstęp

Pedantyczne zacieranie śladów prowadzonej działalności to jedna z podstawowych zasad profesjonalnych grup przestępczych. Tym różnią się od przedstawicieli wszelkich kultur, grup i środowisk zamieszkujących ziemię od tysięcy lat. Od wszystkich struktur konspiracyjnych, które mając przekonanie, że walczą o słuszną sprawę, nawet otoczeni tym czy tamtym imperializmem lub totalitaryzmem, wytwarzają skrycie przechowywane dokumenty czy druki ulotne. Robią to po to, aby świadczyć o swoim trwaniu, komunikować się z tymi, którzy ich potrzebują, lub po prostu – dla potomnych, aby ich przekonać, że opisana walka miała sens. Spisek, kradzież, morderstwo i każda inna forma przestępstwa wyklucza pragnienie pozostawienia po sobie śladów.

No tak, ale dokumenty wytwarzają przecież organa, które przestępców ścigają, które ich aresztują, oskarżają, w końcu sądzą i skazują (o ile się uda). I tutaj również pojawia się problem. Zawodowi przestępcy to także zawodowi kłamcy. Jest to świat, do którego wchodząc,

rezygnujemy z zasad etyki. Jej substytutem staje się rywalizacja na zarobione pieniądze, skradzione fury czy coraz piękniejsze kobiety. Świat, w którym kłamstwo jest obowiązkiem, wprowadzenie w błąd cnotą, a każdy kolejny oszukany frajer stanowi trofeum.

Historii, która pojawia się na kartach tej książki, nie da się więc opowiedzieć na podstawie obiektywnych faktów, wiarygodnych relacji i wartościowych źródeł. Choćby analizowane w tysiącach stron protokoły przesłuchań „bohaterów” tej książki są zapisem teatralnej sztuki, znajdującej się poza zasięgiem percepcji „ludowych” milicjantów. Co wobec tego może zrobić zawodowy historyk, który chciałby napisać książkę o przestępcach? Jak poradzić sobie z sytuacją kipiącego kłamstwa i regularnego zacierania śladów? Odpowiedź jest jedna – napisać książkę popularną, nie naukową. A badawczy zmysł skrupulatności i rzetelności uzupełnić o chłodny dystans i świadomość narracyjnej porażki obiektywnej prawdy w zderzeniu ze światem kłamstwa.

Przytaczane co najmniej od trzydziestu lat w prasie, filmach oraz w wieści gminnej sensacyjne wątki z życia gangstera Nikodema Skotarczaka sprawiły, że stał się on postacią legendarną. „Nikoś” to uosobienie świata przestępczego PRL-u, który w przeciwieństwie do III RP oczekiwał od fachowych przestępców kreatywności, a nie brutalności. „Nikoś” to nie tylko przestępca, ale także *celebryta*, biznesmen, hojny przyjaciel i dobry ojciec – fundator kilku dobrze prosperujących do dziś biznesów. Jako że został zastrzelony w kwietniu 1998 roku przez nieustalonych do dziś sprawców, nigdy nie opowiedział światu o swojej drodze do „legendy”. A ponieważ nie opowiedział, to inni opowiadali tę historię za niego – każdy w swoim interesie, każdy wyciągając na światło dzienne inne szczegóły, coraz to nowe legendy i zmienione – często świadomie – fakty. Dlaczego piszę tę książkę? Łudzę

się, że pomoże ona uporządkować powszechną wiedzę i choćby zasygnalizować, która z powtarzanych przez różne środowiska historii ociera się o prawdę, a która nie... Książka ta nie jest biografią najbardziej znanego polskiego *gangstera*. Historię przeżywa się przecież raz, opisuje się ją wiele razy...

Śmierć w burdelu

24 kwietnia 1998 roku. Południe. Zjazd z obwodnicy Trójmiasta na wysokości gdyńskiej dzielnicy Chwarzno. Przed klubem nocnym Las Vegas zbiera się tłum gapiów. Na miejsce przybywa prokurator rejonowy z Gdyni Janusz Kaczmarek oraz dziennikarze. Musiało stać się coś ważnego. To w tym lokalu przed kilkoma godzinami skończyła się imieninowa impreza Wojciecha Kurowskiego, współwłaściciela firmy ubezpieczeniowej Hestia. Popularny „Kura” imieniny spędzał w towarzystwie przyjaciela z młodych lat, potem współnika w legalnych i nielegalnych interesach – Nikodema Skotarczaka „Nikostia”. Przyjaciele byli z żonami.

Podkomisarz Robert Miller z Biura Prasowego Komendy Wojewódzkiej Policji w Gdańsku poinformował oficjalnie, że w klubie Las Vegas około godziny 12.20 doszło do strzelaniny. W tym zamykał się cały komunikat. Wiadomo jednak, że do klubu wpadło dwóch zamaskowanych mężczyzn, jeden z nich był w ciemnych spodniach. Wiedzieli, gdzie się kierować. Po lewej stronie

od głównego wejścia znajdował się bar, przed nim sala bankietowa wyposażona we właściwe dla tego typu lokali skórzane fotele i doniczkowe palmy – dodające burdelom w latach dziewięćdziesiątych posmaku egzotycznego luksusu. Sala kończyła się skromną, ale szykowną, wyłożoną lustrami sceną. Z lewej strony sceny VIP room, pokój dla gości specjalnych, wyjątkowych. By do niego wejść, należało minąć pełen błyskotek ślepy korytarz. Pokój ciasny – znów skórzane sofki, czarny glazurowy stół. W tym pokoju nieustaleni do dziś zabójcy wpakowali śmiertelną kulę w głowę Nikodema Skotarczaka. „Kura” został trafiony w nogę i okolicę pachwiny. Podczas gdy „Nikoś” padł martwy na schodki prowadzące do VIP roomu, jego przyjaciel po pewnym czasie zdołał wy dostać się z pokoju – to najprawdopodobniej jego krew znalazła się w korytarzu...

Właściciel sklepu znajdującego się obok Las Vegas tak zapamiętał moment tuż po egzekucji: „Usłyszałem jakiś krzyk. Kobieta krzyczała, że zastrzelili «Nikodema», ja ją pytam, jakiego «Nikodema», czy tego słynnego. Ona krzyczała »proszę dzwonić, proszę dzwonić – zabili dwóch, dwóch ludzi zabitych«. Zadzwoiłem na policję, dałem jej słuchawkę, a ona mówi, że zabili dwóch ludzi i proszę przysłać dwie karetki. Ja się nic nie dopytywałem, dałem jej tylko wodę, usiadła i cały czas kołatała się, pokazywała, że ma krew na plecach, sytuacja była nieciekawa”.

Oglądałem ciało „Nikosia” sfilmowane dokładnie godzinę po śmierci. Jeszcze parę lat po zabójstwie Skotarczaka, dzięki policyjnemu przeciekowi, kasetą będzie krążyła w świecie przestępczym jako rarytas. Każdy przestępca będzie mógł ją kupić za jedyne 50 dolarów i obejrzeć ciało znienawidzonego lub szanowanego kolegi z branży. Tymczasem na kamerze wideo widać datę „24 kwietnia 1998, 13.20”. Prawa skroń przytulona do

bocznej ściany, lewa roztrzaskana i zakrwawiona, widać wyłot kuli. Czarne dżinsy, czarny podkoszulek, na wieszaku czarna skóra – strój bardziej żałobny niż imprezowy. W lewej ręce, na której uwagę przyciąga srebrny zegarek Cartier Santos, „Nikoś” ściska niezidentyfikowany przedmiot przypominający talię kart lub papierosy. Choć to truizm, w pierwszym momencie sfilmowana śmierć wygasza w ofierze nawet wspomnienie cech, z którymi była kojarzona jeszcze godzinę wcześniej. Tej emocji ulegli też filmujący, z których pracy korzystam. „Taki mocny gościu był nie? No właśnie, i o to chodzi – taki mocny. A tak go zrobili – jak harcerza. Dokładnie, jak harcerza” – słyszę w tle nagrania, które miało zostać zniszczone. Policjanci, kamerzyści i prokuratorzy mają jednak świadomość, że śmierć Skotarczaka nie rozwiązuje problemu przestępczości zorganizowanej. Widzę tylko ich nogi i buty, ale słyszę dokładnie, co mówią: „To jest jak z chwastami – jednego wyrwiesz, a zaraz na jego miejsce drugi wyrasta. Tego się nie da wyplenić”. Na sam koniec głos niby rozsądny, słuszny, ale spóźniony co najmniej o godzinę, która w tym wypadku oznacza całe życie: „Mógł sobie wyjechać na Zachód, kupić kawałek wyspy i spokojnie żyć. Ale natura ciągnie wilka do lasu”. Zamiast kawałka wyspy i spokojnego życia *gangsterskiego* emeryta był czarny foliowy worek. Potem podniosło go czterech niechlujnie ubranych panów i zapakowali go do czarnej limuzyny Volvo z dużym napisem Zakład Pogrzebowy „Orszak”.

Ta książka nie sili się na poszukiwanie odpowiedzi na pytanie, kto zlecił zabójstwo i kto pociągnął za spust. Od lat bezradna jest tu prokuratura, błędzą dziennikarze, stawiając kolejne, coraz mniej prawdopodobne hipotezy. Jest jednak cień nadziei na rozwiązanie zagadki śmierci pomorskiego *gangstera-celebryty*. Ową nadzieję rodzi fakt, że Prokuratura Regionalna w Gdańsku

ostatecznie odmówiła wydania jakichkolwiek informacji dotyczących śmierci Skotarczaka – nieoficjalnie mówi się, że są blisko zabójców, że jedna z hipotez nabiera realnych kształtów. Ciekawe, która... Czy ta, że zabójstwo „Nikosia” zlecić mieli szefowie łódzkiej „Ośmiornicy”, którym przeszkadzał w zarobieniu 1,5 miliona złotych na porwaniu biznesmena z Opoczna? A może morderstwo zlečili gangsterzy z Pruszkowa, którym „Nikoś” miał być dłużny pokaźne pieniądze, a może „Krakowiak”, od którego planował rzekomo przejąć narkotykowe biznesy na południu Polski? W grę wchodzi też biznesowa zazdrość „króla spirytusu” – „Carringtona” z Dolnego Śląska. Jego były wspólnik „Lelek” wszedł w układ z „Nikosiem”, co dla „Carringtona” okazało się niekorzystne. Czy mógł zlecić zabójstwo? Raczej nie. Ale hipoteza pozostaje. Wreszcie wciąż aktualny jest scenariusz śmierci Skotarczaka jako skutek jego zaangażowania w zabójstwo komendanta głównego policji, generała Marka Papały. Podobno śledczy planowali aresztować „Nikosia” w tej sprawie, co dla jego współpracowników łączyć się mogło z ryzykiem ujawnienia konsorcjum killerów. Jest też teza bardziej lokalna – śmierć „Nikosia” jako próba przejęcia wpływów w całym Trójmieście przez młodszego kolegę po fachu – Daniela Zacharzewskiego „Zachara”. Ci, co znali obu trójmiejskich gangsterów mówią, że to niemożliwe. Ale trop dla prokuratury pozostaje. Znalazł się nawet jeden cyngiel samozwaniec. Do zabójstwa „Nikosia” przyznał się wprost Siergiej Sienkiv. Ten sam, który pudłował niemłosiernie podczas próby zabójstwa biznesmena Macieja Nawrockiego. Z kolei tuż po nieudanym zamachu – jak wspominali w śledztwie jego koledzy – „trząsł się jak galareta”. Wcześniej i później ten sam Siergiej regularnie łamał przestępcze BHP. Raczej nie byłby w stanie skutecznie zdjąć z tego świata doświadczonego urka. Ba, nie był nawet w stanie – podczas wizji lokalnej

– przywołać podstawowych faktów z rzekomego wykonania wyroku na Skotarczaku. W końcu do opinii publicznej nie przedostały się jeszcze co najmniej dwie hipotezy. Żywo powtarzał je w kolejnych latach, a czasem powtarza do dziś trójmiejski półświatek. Jak widać, złożony zapis kolejnych niewiadomych nie przybliżył nas ani o krok do wyjaśnienia zagadki śmierci Nikodema Skotarczaka. Jedno jest pewne – w 1998 roku „Nikoś” miał wielu wrogów i konkurentów, z których co najmniej kilku miało interes w tym, aby zginął. Stąd też 28 kwietnia 1998 roku wieczorem w co najmniej kilku knajpach, nie tylko w Trójmieście, słychać było huk strzelających szampanów... Krótco po śmierci „Nikosa” do klubu Sierra w Pruszczu Gdańskim zjechała wierchuszka świata przestępczego Trójmiasta. Był to festiwal przestępczej różnorodności – grupy starych recedesów i worów przemieszane z młodymi wilkami, szefowie gangów złodziei wszystkiego, bardziej wpływowi bramkarze z dyskotek, białe kołnierzyki. Ładne, zadbane, opalone twarze i sylwetki groźnych przestępców typu lalusz tuż obok skupionych i zmarszczonych mężczyzn anatomią przywołujących skojarzenie z najbardziej znaną postacią z powieści Victora Hugo. Grubo ponad sto osób. Mimo dobrych nastrojów część środowiska, szczególnie ta bardziej doświadczona, nie miała złudzeń, że to miłe kwietniowe spotkanie „odbyło się z inicjatywy policyjnych hintów, którzy obawiali się wojny gangów o «Nikosiową» legendę i niektóre wpływy. Oni muszą mieć kogoś, z kim się komunikują, dogadują i kontrolują podziemie”. Rzeczywiście, z przebiegu spotkania wynikało, że jego celem jest wybranie jednego *capo di tutti capi*, który zapanuje nad gorącym żywiołem chłopców z Trójmiasta. „Filmów się, kurwa, naoglądali i chcieli jak w sycylijskiej mafii wybrać jakiegoś szefa, który będzie rozstrzygał o podziałach w miejskich biznesach. To było i śmieszne, i straszne. Ale

ja miałem świadomość, że takiego szefa na drugi dzień już chwycą psy i będą z niego robić pas transmisyjny” – mówi mi po latach jeden z gości klubu Sierra. Prognozowane zagrożenia nie przeszkodziły w realizacji wiadomo gdzie rozpisanego scenariusza. W duchu demokracji i poszanowania praw większości świat przestępczy Trójmiasta po śmierci „Nikosia” wybrał jego następcę. A właściwie pełniącego obowiązki (sic!) szefa podziemia. Został nim rozbudzający w tym czasie wyobraźnię nie mniej niż „Nikoś” popularny „Tygrys” ze Stogów.

Nie radość, a smutek dominował podczas katolickiego pogrzebu 44-letniego Nikodema Skotarczaka. Pogrzeb odbył się na gdańskim cmentarzu Srebrzysko 30 kwietnia 1998 roku. Ceremonię pogrzebową poprzedziła msza żałobna w katedrze oliwskiej. Celebrujący mszę ksiądz kanonik Mirosław Paracki nie wygłosił tego dnia kazania. Zgodnie z ustaleniami z rodziną liturgię wypełniło czytanie ewangelii, bez kazania. Zgodę na katolicki pogrzeb i mszę w katedrze – jak pisano w prasie i informowano w telewizji – wydał sam metropolita, arcybiskup gdański Tadeusz Gocłowski. Nie potwierdza tego jednak ksiądz Paracki, który tłumaczy: „Pogrzebów się nie odmawia, tym bardziej jeśli chodzi o kogoś, kto chodził do kościoła – tak było według moich informacji w tym wypadku. Proboszcz parafii Nikodema Skotarczaka poprosił rodzinę, aby decyzję w tym wypadku podjęła kuria. Kancelarz, być może po konsultacji z arcybiskupem, przekazał mi, że mam sprawować posługę na tym pogrzebie”. I tak się stało...

Na cmentarny parking zajęchały luksusowe samochody z rejestracjami z różnych stron Polski i Europy. W ostatniej drodze *gangstera* udział wzięły tłumy mieszkańców Trójmiasta. Wśród nich bramkarze z dyskotek, biznesmeni, sportowcy, złodzieje, w końcu zwykli gapie, którzy „Nikosia” znali tylko z gazet. Tuż za trumną, obok

pogrążonej w smutku rodziny – ojca, żon i dzieci, maszerował Ryszard Glinkowski „Tata” – przyjaciel „Nikosia”. Za kilka miesięcy, dokładnie 9 września 1998 roku, podzielił los właśnie grzebanego kolegi – zostanie zastrzelony w budce telefonicznej w Gdyni. Wokół najbliższych, w ciemnych okularach znani ochroniarze z najlepszych gdańskich klubów, kantorów i dyskotek. Widać, że są w pracy. Po latach pytam jednego z nich: co właściwie ochranialiście na pogrzebie? Odpowiada: „Edyta, ówczesna żona «Nikosia», nie chciała, żeby ktoś składał kondolencje, mieliśmy jej to zapewnić, nie chodziło o nic innego”. Nie było kondolencji, nie było też przemów – uroczystość rozpoczął i zakończył ksiądz kanonik Mirosław Paracki. Po drugiej stronie żałobników, gości i gapiów rzesza fotografów, dziennikarzy i kamery telewizyjne. To dzięki nim widzimy, jak żałobny tłum szepcze fragment najważniejszej dla katolików modlitwy: „...i odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy naszym winowajcom...”.

Jeden z wielu

Ta historia się nie zaczyna. Bo niby kiedy i dlaczego człowiek staje się przestępcą? Cezurę stanowi podjęcie przestępczej działalności, proces, wyrok czy dopiero epizod w więzieniu? Odwieczny problem tych, którzy analizują świat zła – kiedy, kiedy, kiedy to się zaczęło? Trawestując mroczną i wciągającą opowieść o świecie przestępczym Mińska Litewskiego z lat 1918/1919 mogę napisać: „kiedy «Nikoś» stał się złodziejem – nie wiadomo. Może był nim przez całe życie [...] Nie wiem. Wiem tylko na pewno, że nie odziedziczył tego po przodkach, że nie miał wrodzonych zbrodniczych skłonności, że nie był przestępczym typem. Jedno jest prawdą: przestępcą zrobiło go życie”. I znów pytam, kiedy stał się prawdziwym peerelowskim przestępcą? Już w szkole podstawowej? W zawodówce? Czy dopiero po krótkim kursie edukacji, kiedy alternatywą wolnej, kolorowej i opłacalnej działalności w „szarej strefie” – w jeszcze bardziej szarej rzeczywistości – stał się słabo płatny i brudny warsztat samochodowy? Wciąż nie wiem.

Jedno jest pewne – i wcześniejsze, i późniejsze teorie kryminalistyczne mówią, że był idealnym kandydatem na przestępcę. Tego fachu najczęściej podejmują się bowiem albo młodzi chłopcy, albo jeszcze niezestawiali mężczyźni. Jeśli mieszkają w dużych miastach o wysokim czynniku społecznej dynamiki, w miastach demograficznych przełomów i fluktuacji, dodatkowo nie mając szczególnych aspiracji zawodowych czy edukacyjnych, to fundament pod dobrego *gangstera* leży i czeka... W Polsce komunistycznej pod tym względem było podobnie.

Swobodne jak na warunki PRL-u kontakty międzynarodowe (granica), idące za tym liczne transakcje handlowe, nieszczelność celna morskiej granicy i w konsekwencji regularny przepływ obcych walut i towarów (marynarze, załogi statków) wytwarzały już w latach sześćdziesiątych specyficzny klimat Trójmiasta (Gdańsk, Sopot, Gdynia). Gdańsk na przełomie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych był właśnie takim miastem – dużym i dynamicznym jak na Polskę „ludową”. Był polskim oknem na świat, portem, w którym młodzi ludzie częściej niż w głębi Polski myśleli o szybkiej karierze i dużych pieniądzach. Najlepiej zarobionych w swobodny sposób. Karmieni opowieściami marynarzy o wolnym świecie, opowieściami doprawionymi widokiem, smakiem i zapachem towarów jak na tamte czasy luksusowych, ze świadomością, że granica jest tak blisko, tuż za morzem, marzyli o bogactwie Zachodu. Janusz Kochanowski, badacz przestępczych praktyk w PRL-u, cały zestaw wybrzeżowych skłonności przestępczych sprawnie określił mianem „wielopłaszczyznowego czynnika marynarskiego”. Ten czynnik został w odbiorze społecznym wzmocniony liberalizacją ruchu granicznego – to właśnie w latach siedemdziesiątych liczba wyjazdów Polaków za granicę wzrosła

dziesięciokrotnie. Polacy w podróży odkrywali lepiej zagospodarowane zakątki świata. To jeszcze bardziej rozbudzało konsumenckie aspiracje, których w pierwszych latach PRL-u nie udało się komunistom definitywnie wykastrować.

W społecznym profilu przestępczym mieściła się zresztą cała Polska „ludowa” – kraj nierówności, właściwej systemom totalitarnym dezintegracji, zdominowany przez komunistyczną kastę zarządzającą ubożającym społeczeństwem. Kraj, w którym przemyt i nielegalne wykorzystywanie ekonomicznych różnic między zachodnią normalnością a wschodnią nienormalnością zza żelaznej kurtyny stanowiły często jedyne źródło utrzymania. Oddajmy głos uczonym. Otóż jak ustalił kryminolog, który przestępców poznał, zrozumiał i ocenił bardziej trafnie niż teorie Marksa i Engelsa (Leszek Lernell), liczba przestępstw maleje wraz ze wzrostem homogeniczności społeczeństwa i integracją społeczną, rośnie natomiast wraz z narastaniem zróżnicowania społecznego (w tym m.in. hierarchiczności czy dysproporcji dochodów). I to jest ważne w książce o pokoleniu przestępców rodem z końcówki PRL-u.

Siermiężne społeczno-gospodarcze tło stanowi jednak wyłącznie skromny element całego zagadnienia. PRL nie był przecież krajem złodziei. Przestępcę stwarza także, a może przede wszystkim, jego osobista historia: geny, wychowanie, skłonności, doświadczenia i wizje przyszłości. W końcu też przyczyna, która w historiach zorganizowanej przestępczości Polski „ludowej” stanowić będzie bardzo ważny czynnik – świadomość niewielkiego ryzyka podejmowanego czynu. A może nawet stymulujące odruch przestępczy poczucie bezkarności?

„Nikoś” – syn Nikodema

Nikodem Skotarczak był chłopakiem z Gdańska. Urodził się właśnie w tym mieście 29 czerwca 1954 roku. Droga rodziny Skotarczaków do Gdańska wiodła przez szereg życiowych zakrętów. Ojciec „Nikosia” – Nikodem pochodził z maleńkiej wsi Kunowo w powiecie szamotulskim. W czasie wojny, do momentu osadzenia ojca w obozie koncentracyjnym Dachau, pomagał rodzicom przy gospodarstwie rolnym. Po zakończeniu okupacji niemieckiej odsłużył dwa lata w wojsku i przeniósł się do Gdańska. Nikodem Skotarczak senior z zawodu był kierowcą, choć sam wolał określenie „szofer”. W tym właśnie charakterze pracował w kilku gdańskich przedsiębiorstwach, najdłużej w Lidze Obrony Kraju, był tam instruktorem jazdy. Polskę w 1945 roku uznał za wyzwoloną i choć nie był gorliwym komunistą, wstąpił do Związku Młodzieży Polskiej, następnie w 1949 roku do ORMO. Po ślubie z Zofią Antecką i narodzinach ich pierwszego dziecka – Teresy (urodzona w 1951 r.) Nikodem Skotarczak na wyraźną prośbę żony zrezygnował ze społecznej aktywności na rzecz „ludowej” Polski. Jeszcze przed śmiercią Stalina złożył podanie o zwolnienie z ORMO. Jednak ORMO nie chciało odpuścić Nikodemowi Skotarczakowi. Towarzysze w mundurach khaki z czerwonymi dystynkcjami, dumnie noszący na lewej kieszeni bluzy brązową odznakę, regularnie nachodzili dom Skotarczaków w gdańskim Wrzeszczu przy ulicy Podleśnej. Skotarczaka nigdy szczęśliwie nie było w domu. Nachalnym gościom sprawę naświetliła ostatecznie Zofia: „Rozumiem, że chcecie, żeby mąż został w służbie i przyjął legitymację. Ale zrozumcie też mnie – jak był kawalerem, to mógł sobie należeć, gdzie chce, teraz, jak jest żonaty, to nie będzie w tym uczestniczył, zarabia na rodzinę

– nie ma czasu!”. Ot tak, po prostu, skończyła się przygoda Nikodema seniora z formacją pomocniczą MO i UB. Wspomniana Zofia przez większość życia wychowywała dzieci. Nie stroniła jednak również od pracy zawodowej – była zatrudniona w Przedsiębiorstwie Transportowym Sprzętu Budowlanego „Transbud”. Skotarczakowie mieli trójkę dzieci, wiedli zwyczajne życie robotniczej rodziny, niepozbawione trosk, ale niezapowiadające też tragedii, która w kolejnych latach sprawiła, że wszyscy – poza Nikodemem seniorem – zginęli tragicznie. Najstarsza więc była wspomniana już Teresa, najsprytniejszy Nikodem był młodszy od siostry o trzy lata, najmłodszy Marek zaś urodził się w roku 1958. Chłopaki byli zawsze do siebie wizualnie podobni, choć Nikodem był nieznacznie wyższy. Różnili się charakterem. Marek był bardziej zadziorny, nieustępliwy, nieszukający kompromisów – charakterny. Nikodem częściej się uśmiechał, szukał skomplikowanych kompromisów, gotowy był do ustępstw. Był też bardziej pragmatyczny – liczył się konkretny efekt, nie samopoczucie spełnienia.

Już jako nastolatek ten najsprytniejszy z rodzeństwa Skotarczaków powtarzał starszej siostrze i młodszemu bratu „Wy się uczcie, ja będę zarabiał pieniądze”. Sam do nauki nie miał wielkiego zapału. Wprawdzie po skończeniu szkoły podstawowej podjął wyzwanie edukacyjne w Zespole Szkół Zawodowych nr 2 w Gdańsku-Wrzeszczu, jednak z każdym rokiem coraz rzadziej uczęszczał do szkoły. W czasach demograficznego wyżu Nikodem Skotarczak, uczeń klasy I B, w roku szkolnym 1969/1970 w specjalności elektromechanik, miał 35 numer w dzienniku. W pierwszej klasie odznaczał się dobrym zachowaniem i sprawnością fizyczną. Ze wszystkich pozostałych przedmiotów, w tym tych zawodowych, dostał oceny dostateczne i otrzymał promocję do klasy drugiej. W klasie drugiej poziom sprawności fizycznej nawet poprawił

– piątka z wuefu, czwórka z zachowania i praktyka odbyta również na dobrym poziomie dawały nadzieję na zdobycie zawodu. Niestety, drastycznie wzrosła liczba opuszczonych godzin oraz spadła ocena z języka polskiego. Przyczyną dwójki z polskiego miały być „braki w opanowaniu materiału, wybitne lenistwo i niechęć”. Zdał jednak egzamin poprawkowy na trójkę i otrzymał kolejną promocję, tym razem do klasy trzeciej. Przez myśl mu nawet nie przechodziło, że może wykonywać przez całe życie pracę elektromechanika. Połączenie fachu z dobrym biznesem i zabawą, to tak. Ale brudny warsztat, wymagający klienci i drobne, ciężko zarobione pieniądze – zdecydowanie nie. W roku szkolnym 1971/1972 Nikodem niemal zupełnie zniknął ze szkoły. W pierwszym semestrze 69 opuszczonych godzin, w drugim już 193. Łącznie ponad 250 opuszczonych lekcji nie wróżyło dobrych ocen. Siedem niedostatecznych, w tym z polskiego, rosyjskiego oraz z przedmiotów zawodowych i przysposobienia obronnego. Zachowanie dostateczne i obowiązkowo piątka z wychowania fizycznego. Opinia wychowawcy znów nie najlepsza – „brak opanowania materiału. Wybitne lenistwo, wysoka absencja”. Nikodem Skotarczak zakończył swoją ścieżkę edukacyjną w trzeciej klasie szkoły zawodowej. Skąd taki nagły i niekorzystny zwrot akcji od września 1971 roku? Dlaczego średni wprawdzie uczeń, ale uczęszczający do szkoły w klasie pierwszej i drugiej, uzyskujący promocję, zupełnie zaniechał szkolnych obowiązków w klasie trzeciej? „To już był ten czas, kiedy poznał się z Glinkowskim. Rzadko bywał w domu, rzadko jak widać w szkole. Przyuczał się już do życia na mieście” – słyszę od bliskiej „Nikosiowi” osoby.

Życie „na mieście” miało swoje konsekwencje. Nastolatkom Nikodem i Marek włamali się do kiosku na gdańskim Przymorzu. Napad się nie udał, zatrzymał ich późniejszy znajomy Skotarczaka – Waldemar Gruszczyński.

„Do kurwy nędzy, co to za chuligańskie pomysły. Dobremu worydze pod swoim domem kraść nie przystoi. Niepotrzebni tutaj chuligani rozbijający kioski i napadający na przechodniów pod własnym domem!” – grzmiał na smarkaczy stary tufciarz, dla którego Gdańsk stał się domem dopiero po 1945 roku. Zrozumieli, zapamiętali i starali się realizować. „Nikoś” zwrócił się wówczas do brata z właściwą sobie historyczną ignorancją: „Rusek ma rację. Po takim wygłupie to ani kasy, ani sławy. A jeszcze stary będzie jęczał przez dwa tygodnie”. Ojciec nie krzyczał, bo się nie dowiedział. Ale „Nikoś” zrozumiał, że dobry złodziej może się cieszyć nie tylko luksusem, ale też szacunkiem, łobuz nawet w rodzinie jest wyłącznie tolerowany – zysk z niego żaden, kłopotów masa.

Chęć zdobywania świata i wolna dusza Nikodema nie współgrały z zasadami ojca, rządzącego w domu twardą ręką. Spory doprowadziły ostatecznie do tego, że „Nikoś” już jako siedemnastolatek praktycznie wyprowadził się z domu. Zamieszkał u wspomnianego Ryszarda Glinkowskiego, *nomen omen* – u „Taty”. Stąd właśnie wziął się pseudonim Glinkowskiego w przestępczym świecie Trójmiasta. Potem, jak można domniemywać, właśnie na kanwie tej znajomości powstał film *Sztos*. Scenarzysta Jerzy Kolasa – znajomy „Nikosia” – sprytnie odwrócił w *Sztosie* uwagę od „Taty”, prowadząc fabułę przez losy „Synka” granego przez Cezarego Pazurę.

Rodzeństwo „Nikosia”, podobnie jak rodzice, wiodło formatowe życie przedstawicieli klasy robotniczej Polski „ludowej”. Marek, z zawodu tokarz frezer, przed uregulowaniem służby wojskowej (1978–1980) podejmował się różnych zajęć – pod koniec lat siedemdziesiątych zatrudniony był na przykład w Zakładach Mechaniki Precyzyjnej. Jego wielką pasją były konie. Teresa pracowała głównie jako ekspedientka, m.in. w sklepie Ligi Morskiej, antykwariacie oraz jako barmanka w barze bistro.

Rodzinny dom w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych pozostał we Wrzeszczu, Skotarczakowie przeprowadzili się jednak z ulicy Podleśnej na Raławicką (13/3), tam osiedli na wiele kolejnych lat. Mieszkanie przy Raławickiej stało się świadkiem rodzinnych radości i dramatów.

Wrzeszcz jest dzielnicą gdańskich klubów piłkarskich – najstarszego, Kolejowego Klubu Sportowego „Gedania”, i najbardziej popularnego – Budowlanego Klubu Sportowego „Lechia”. Niemal w całym PRL-u, zresztą tak jak i w III RP, najzdolniejsza piłkarsko młodzież trafiała do Lechii. Na całe dekady Lechia opanowała wyobraźnię i serca miłośników gdańskiej piłki nożnej. „Nikoś” nie należał do szczególnych piłkarskich talentów. Wspólnie ze swoim przyjacielem od najmłodszych lat – Henrykiem Konopką, który z czasem przyjmie orzeźwiający pseudonim „Pepsi Cola” – grali w Gedanii. O futbolowej przygodzie z młodości – pewnie nie z nostalgią, bo w warunkach przesłuchań przed prokuratorem w listopadzie 1985 roku – wspominał Henryk Konopka: „Z Nikodemem Skotarczakiem praktycznie znałem się od lat dziecięcych, gdyż będąc chłopcami graliśmy razem w piłkę w klubie Gedania w Gdańsku-Wrzeszczu. Utrzymywałem z nim kontakty również później, chociaż były one dość luźne z tego względu, że ja nie piję alkoholu i nie grywam w karty, a on lubił pograć w karty hazardowo”.

Hazard... Sport wciągnął Nikodema w nawyk nieustającej rywalizacji, która wzmocniona miłością do pieniędzy obudziła w nim skłonność do hazardu. Hazard zaś w PRL-u był faktycznie zabroniony – poszukujący adrenaliny wymyślali w związku z tym prymitywne rywalizacje, w których laurem była gotówka. Wśród nich popularna była gra w „numerki”, czyli zaczytywanie numerów seryjnych banknotów – ten, kto miał wyższy, zabierał banknot „słabszemu”. „Nikoś” grał zarówno w „numerki”, jak

i w karty na pieniądze. Gry karciane odbywały się w hotelach, prywatnych mieszkaniach i w klubach – wspominał po latach kolega „Nikosia” Karol Jan Gałuszka. Inny strocznik, szuler karciany i złodziej przekonywał z kolei, że „Nikoś” grał wyłącznie na sportowo – „nie korzystał nigdy z cynkowych styrek, kołysek i innych sztuczek – czerpał przyjemność z samej gry”. Nie wierzę. Najbardziej kolorowego i atrakcyjnego, półlegalnego hazardu można było wówczas zaznać w pojedynczych klubach z maszynami do gry – jednorękami bandytami. „Nikoś” pogrywał zarówno w gdańskiej Lucynce, jak i w gdyńskim Kapryście oraz kilku innych trójmiejskich klubach.

Przymuszał się ponadto do gry w „Jantara”. Losowania zdarzało się mu sporadycznie śledzić w „Dzienniku Bałtyckim”. „Jantarowcy” z największym szczęściem wygrywali nawet 100 tysięcy złotych, czy samochód – fiata 125p. „Proszę pamiętać – trzeba grać, żeby wygrać” brzmiało hasło „Jantara”, które Skotarczakowi szczególnie zapadło w pamięć. Od stycznia 1977 roku 40 procent zysków z loterii „Jantar” przeznaczono na cele społeczne, ugruntuwując hazardystów w przekonaniu, że każda zainwestowana złotówka – nawet w wypadku przegranej – wspiera ważne społecznie inicjatywy. W późniejszych czasach wyrafinowaną formę hazardu stanowiło obstawianie gonitw konnych na sopockim hipodromie. W Sopocie ścigały się konie półkrwi stadnin mazurskich, a brat „Nikosia” – Marek, znał się dobrze na profesjonalnym interesie konnym, mógł zawsze coś podpowiedzieć. Formą hazardu w Polsce „ludowej” było też zdobycie samochodu... Mozolne odkładanie pieniędzy na lokatę samochodową nie gwarantowało sukcesu. Samochód był dobrem bardzo pożądanym i równie niedostępnym. Auto można było jednak wylosować w konkursie właścicieli książeczek oszczędnościowych PKO. Przedmiotem losowania w drugiej połowie lat siedemdziesiątych były rodzimej

produkcji fiaty 126p, dostojne czechosłowackie skody 100 i niezniszczalne ukraińskie zaporozce. Jednak najmocniej wyobraźnię konkursowiczów pobudzały enerdowskie limuzyny, nazywane złośliwie fordami z kartonu – Trabanty. Oczekiwanie, losowanie i w końcu – w najlepszym wypadku – potencjalne użytkowanie skod, zaporozców i trabantów budziło w „Nikosiu” rodzaj kompleksu, złości, ale też ogromną chęć posiadania prawdziwych insygniów luksusu. Posiadania za wszelką cenę.

Giganciarze z PRL-u

Nikodem Skotarczak szybko założył rodzinę. Kochał wtedy Gabrysię, więc pewnie chciał zbudować prawdziwe relacje rodzinne, podjąć normalną pracę, wychować swojego potomka na porządnego człowieka. Może. Datę ślubu wybrali bez refleksji o pięknej historii polskiej niepodległości. Ślub – jak pisano w dokumentach – elektromechanika Nikodema Skotarczaka i introligatorki Gabrieli Lamek odbył się 11 listopada 1975 roku. Pierwszy i nie ostatni raz „Nikoś” zachował się jak dżentelmen – Gabrysia była w ciąży, nosiła w łonie ich syna – Piotra, który urodził się 1 maja 1976 roku. Żona i syn „Nikosia” zamieszkali wraz z rodzicami Gabrieli we Wrzeszczu, przy ulicy Na Wzgórzu 16. Przyjęli nazwisko Skotarczak, które w Gdańsku w tym czasie nie znaczyło jeszcze nic.

Nuży mnie już odpieranie opowieści o tym, jak wielką ikoną przestępczego świata Trójmiasta był w latach siedemdziesiątych dwudziestoparoletni „Nikoś”. Do dziś pisze się i dyskutuje o nim poza czasoprzestrznią – „Nikoś” to ikona peerelowskiej *gangsterki* lat osiemdziesiątych, czterdziestoletni dziadzio-legenda dla brutalni w latach

dziewięćdziesiątych, więc i w siedemdziesiątych musiał już być kimś. Te narracje nie dają mu dojrzeć, dorosnąć, przejść drogi, która była mu pisana. Poza tym są wprost anachroniczne. Opowieści o bożku „Nikosiu” ubarwione są zazwyczaj sugestią kreacyjnego cudu przestępczego. Wziął się znikąd, albo stąd, że był duży, silny i do tego współpracował z SB. W każdym razie był urodzonym szefem, czy – jak powiedziałby sam – „sefem”. Lipa. Nic się nie zgadza.

Po pierwsze, młody Nikodem nie mógł być wyposażony w argumenty siły, bo miał kategorię „E” i był trwale niezdolny do służby wojskowej. Żart. To prawda – miał kategorię „E”, która w tamtym czasie, w tamtym świecie miała po prostu swoją cenę. Zdolny był ją opłacić perspektywiczny peerelowski watażka z paszportem w ręku. Nie było czasu na dwa lata spędzone w mundurze „ludowego” wojska – trzeba było robić kasę i wspinać się po szczeblach świata przestępczego.

A było co robić. Młody „Nikoś” zajmował się pełną gamą wolnych zawodów, w tym tymi z kategorii przestępstw charakterystycznych dla lat siedemdziesiątych. W Polsce przedwojennej złodzieje pracujący w różnych specjalnościach naraz nazywani byli giganciarzami. Można więc powiedzieć, że on i jego koledzy byli peereelowskimi giganciarzami, multiprzestępcami przystosowanymi do otaczającej rzeczywistości. Ale wcześniej był wykidajłą.

Żeby być dyskotekowym ochroniarzem, bramkarzem, wystarczy siła i silna psychika, w byciu waluciarzem siła z pewnością pomaga, odporność psychiczna jest niezbędna, ale potrzebny jest przede wszystkim spryt, sam spryt i pomysłowość – bez siły – załatwia natomiast sprawę kompetencji przemytników. „Nikoś” był więc najpierw i przede wszystkim ochroniarzem. Dokumenty operacyjne mówią o dwóch klubach, które

ochraniał w drugiej połowie lat siedemdziesiątych – Pod Kirasjerem w Elblągu oraz Wrzos w Sopocie przy ulicy Bitwy pod Płowcami. Tam miał rzekomo zaczynać swoją karierę. Choć powszechnie mówi się i pisze, że już jako dwudziestolatek ochraniał lokale Lucynka, potem gdyńskiego Maxima. To musiał być naprawdę silny i zdecydowany dwudziestolatek, aby co wieczór stawiać czoła trójmiejskim badylarzom z pełnymi portfelami, obywatelom-marynarzom i tym lepiej zarabiającym i lepiej pachnącym stoczniovcem. Nawet w XXI wieku, w okresie, gdy wymagające czasu budowanie masy mięśniowej na jednej z licznych siłowni może zastąpić intensywny kurs boksu czy MMA, dwudziestolatka na bramce w elitarnym klubie doświadczymy sporadycznie. Lucynka nie była, a Maxim był klubem elitarnym, przy czym Maxima otworzono już w czasach, gdy „Nikoś” w bramki się raczej nie bawił (1980 r.). Nic nie jest w stanie potwierdzić legendy „Nikosia” jako wyróżniającego się w Gdańsku swoją siłą czy umiejętnościami wykidajły. Nie był ulicznym, odstrasającym, budzącym szacunek troglodytą. Patrząc na jego prywatne zdjęcia z lat siedemdziesiątych i widząc zwykłego mężczyznę, nie kulturystę. Co więcej, wśród setek zdjęć wykonanych w różnych sytuacjach, ani razu nie ćwiczy, nie biega, nie pręży mięśni. Umiał się bić, bronić swoich interesów, potwierdzają to jego przyjaciele, poza tym czasy i podejmowane zadania tego wymagały. Nie był jednak mistrzem gdańskiej ulicy końcówki lat siedemdziesiątych, byli silniejsi. Wówczas formę bitewną można było budować na milicyjnej hali GKS Wybrzeże, którą „Nikoś” jeszcze w latach siedemdziesiątych starał się omijać z daleka, lub na robotniczym Stoczniovcu, którego też sobie szczególnie nie upodobał. Nie szkolił się w biciu, grał w piłkę.

Tego fragmentu życiorysu „Nikosia” nie da się opowiedzieć bez przywołania historii człowieka, który uchodzi

za – *nomen omen* numer 2 – jego mecenasa. Na początku lat dziewięćdziesiątych jeden z najbogatszych ludzi w Polsce. Jeszcze dziś redaktor naczelny tytułu „Twój Wieczór”, w którym opisuje życie pomorskich elit. Magister prawa Michał Antoniszyn, pseudonim „Mecenas”, w pierwszej połowie lat siedemdziesiątych był właścicielem klubu Relax na gdańskich Stogach. A także – jeśli tylko poświadczająca w końcówce lat siedemdziesiątych zatrudnienie Antoniszyna Stefania Rybka nie jest osobą fikcyjną – asystentem w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie. Prywatna działalność gospodarcza w Polsce „ludowej” nie była nigdy wysoko ceniona, była wręcz sukcesywnie zwalczana. Trudno odpowiedzieć w związku z tym na pytanie, czy to wyłącznie założenia marksizmu, czy być może rzeczywiste złamanie prawa zdecydowały o ukaraniu w roku 1976 Michała Antoniszyna domiarem podatkowym w wysokości miliona złotych. Antoniszyn szybko odrobił straty, gdy został kierownikiem restauracji Miramar w Sopocie (1976) – poza prowadzeniem gastronomii, nielegalnie, acz półoficjalnie obracał na wielką skalę dewizami.

Według informacji wydziału przestępstw gospodarczych wojewódzkiej milicji Miramar nie był jedynym miejscem gospodarczej aktywności Antoniszyna. Jak ustalono, pozostawał także „cichym”, nieoficjalnym właścicielem kilku innych trójmiejskich knajp wyposażonych w maszyny rozrywkowe, hazardowe i muzyczne. Wśród nich wymieniano Lucynkę w Gdańsku-Wrzeszczu, znajdującą się zaledwie kilka metrów od mieszkania „Mecenasa” przy ulicy Lelewela. Ale to nie dociekliwość organów ścigania w sprawach gospodarczych była z końcem dekady największym zmartwieniem pana Michała. W 1978 roku Antoniszyn był podejrzany o zamordowanie trzech osób w Sopocie. Po formalnym oczyszczeniu z zarzutów postanowił więc wyjechać do Austrii. „Twój przyjaciel ma

przyjaciela, przyjaciel twego przyjaciela też ma przyjaciela, pamiętaj, bądź dyskretny” – brzmi stare i prawdziwe przysłowie, o którym Michał Antoniszyn zapomniał. Aż trudno uwierzyć, że wówczas doświadczony już przecież przez prowadzenie kilku biznesów z pogranicza prawa Antoniszyn zapomniał o tej zasadzie. „Mecenas” poczuciem ulgi i planami podróży pochwalił się koledze z branży. Kolega z branży miał natomiast kolegę z innej branży. Tym samym w sierpniu 1978 roku tajny współpracownik „Wątek” doniósł porucznikowi Rudolfowi Wrzau z gdańskiej komendy wojewódzkiej milicji: „[...] Antoniszyn oznajmił mi, że wyjeżdża za granicę. Przy tym powiedział, że poprzednio stwarzano mu trudności z wyjazdów, ale po zakończeniu sprawy, w której był podejrzany o trzy morderstwa, gdy był kierownikiem restauracji «Miramar» w Sopocie, aktualnie uzyskał zgodę na wyjazd za granicę”. Zgodę jednak cofnięto po donosie „Wątka” i interwencji kierownika sekcji wydziału paszportów – kapitana Brunona Głowczewskiego. Z brakiem możliwości opuszczenia PRL-u Antoniszyn zmagął się do grudnia 1980 roku. Szefów Wydziału Paszportów KW MO – przynajmniej oficjalnie – przekonało dopiero merytoryczne odwołanie, zdradzające jednocześnie w sposób dyskretny pewne normy funkcjonowania świata przestępczego w Trójmieście, a także sympatie i antypatie, dotyczące również osób bliskich Skotarczakowi. W swoim odwołaniu z 12 grudnia 1980 roku Michał Antoniszyn pisał:

[...] W odmownej decyzji powołano się na pkt. 5, ust. 2 art. 4 ustawy o paszportach. Doprawdy nie rozumiem, jakie ważne względy państwowe przemawiają za nieudzieleniem mi paszportu. Pragnę wyjaśnić, że jestem lojalnym, niekaranym obywatelem PRL. Nie należę do żadnych organizacji politycznych ani z żadną organizacją nie mam związku.

Prawdą jest, że przez kilkanaście lat pracowałem w gdańskiej gastronomii. Z tego powodu byłem i jestem znany szeregowi osób z kręgu marginesu społecznego. Nigdy nie byłem jednak z nikim przestępczo związany, jak mi próbowano to niejednokrotnie wmawiać. Zdaję sobie sprawę, że pracując w gastronomii przy niemałych zarobkach byłem przedmiotem zainteresowania MO. Wieloletnie próby udowodnienia mi jakiegokolwiek przestępczości spełzły na niczym – bo nigdy żadnego przestępstwa nie popełniłem. Wiele osób z kręgu marginesu społecznego było indagowanych na mój temat, o czym sami później rozpytywali i sami stwierdzali, że powtórzyli w MO lub SB zasłyszane plotki lub mity na mój temat.

[...] Wiele osób, które na mój temat wypowiadało się w MO lub SB już dawno w sposób legalny lub inny wyjechało z Polski, np. mój «wróg» Ryszard Glinkowski [przyjaciel Nikodema Skotarczaka – TB]. Wymieniając to nazwisko pragnę zwrócić uwagę na brak jakiegokolwiek wiarygodności donosów pochodzących od osób typu Glinkowskiego. Swego czasu Glinkowski poinformował mnie, że rzekomo obraziłem w jakiś sposób Naczelnika paszportów, co jest wierutnym kłamstwem. Wymyślili to ci, którzy chcieli mi zaszkodzić.

Jestem życiowo ustabilizowany, w Polsce posiadam majątek trwały (nieruchomości) i nie ma chyba żadnych wątpliwości co do czystości intencji mojego wyjazdu. Absolutnie nie wchodzi w rachubę wykorzystanie wyjazdu do pozostania za granicą. Tutaj jestem kimś, a tam byłbym tylko «popychadłem».

Nie sądzę, że odmowa wydania mi paszportu ma być swoistą karą za brak możliwości udowodnienia mi jakiś bliżej nieokreślonych przestępstw. Zwracam

się z prośbą o ludzkie potraktowanie mojej sprawy i rzeczowe wyjaśnienie [...].

Dostał paszport. Kilka miesięcy wcześniej przejął też kontrolę nad lokalem, któremu nadał blask, a dzięki któremu sam zyskał popularność. Maxim znajdował się przy ulicy Bohaterów Stalingradu w gdyńskim Orłowie. *Notabene* klub mieścił się niecałe pięć kilometrów od domu jednorodzinnego (Korzeniowskiego 4), którego współwłaścicielem był „Mecenas”. Początkowo jako nadzorca BHP z ramienia gdańskiego Klubu Kultury Związku Socjalistycznego Młodzieży Polskiej (ZSMP), później już jako właściciel Antoniszyn został szefem dyskoteki, w której kręcono filmy i o której pisano piosenki. Nie porzucił jednak fikcyjnego „nadzoru BHP”, teraz sprawował go nad gdańskim klubem Rudy Kot. Dzięki najlepszym w Trójmieście dyskdotekom w klubach rozbrzmiewały największe przeboje polskiej i zagranicznej muzyki. Kora Jackowska z *Buenos Aires* oraz Blondie z międzynarodowym hitem *Call me* czy Diana Ross ze swoim *Upside down*. Hity rozbrzmiewały, ludzie się bawili, Michał Antoniszyn zarabiał coraz większe pieniądze.

Publicystyczne przekazy konsekwentnie przekonują, że krezus rozrywkowego Trójmiasta Michał Antoniszyn był pierwszym pracodawcą, mentorem i promotorem młodego „Nikosia”. W upowszechnianej legendzie Skotarczaka „Mecenas” zajmuje zaszczytne miejsce. Dał szansę dorastającemu, zdolnemu i odważnemu watażce – zrobił z niego swojego prywatnego ochroniarza. Watażka szansy nie zmarnował. Dorósł do roli prawdziwego *gangstera* PRL-u i jego sukcesorki – III Rzeczypospolitej. Trudno to jednoznacznie potwierdzić. W sprzeczności z opinią o wyjątkowej roli „Mecenas” w życiu „Nikosia” stoją jednak słowa samego Antoniszyna. W 2008 roku, przy okazji dziesiątej rocznicy

śmierci Nikodema Skotarczaka, Michał Antoniszyn zdemolował legendę „Nikosia”:

[...] «Nikoś» nigdy nie był ochroniarzem. W 1972 roku, kiedy właścicielką «Lucynki» [...] była Janina Jastrzębowska (żona znanego trenera Lechii Jurka Jastrzębowskiego), Nikodem był szczupłym i roztargnionym nastolatkiem. W Dolnym Wrzeszczu, gdzie mieszkał, nikt się z nim nie liczył. Był popychadłem, pośmiewiskiem, wiele razy go pobito, miał dwukrotnie drutowaną szczękę. Do «Lucynki» przychodził z ciekawości, o ile go wpuszczono, bo na bramce stali rośli mężczyźni: absolwent Akademii Wychowania Fizycznego, prawie dwumetrowy Tadzio Taraszkiewicz oraz mistrz Wybrzeża i reprezentant Polski w boksie Henryk Kosel. To był prawdziwy Goliat, większy od Gołoty, tylko Polska socjalistyczna nie pozwoliła mu zrobić kariery międzynarodowej.

W dalszej części rocznicowego tekstu redaktor Antoniszyn nie oszczędza młodego „Nikosia”:

«Nikoś» był za mały i za słaby, by osadzić go w roli bramkarza. Właściciele lokali odstraszała jego chuchrowata postura. Owszem, miał pracę we Wrzeszczu – jego starszy kolega Rysio Glinkowski (pseudonim Tata) prowadził hodowlę norek. «Nikoś» karmił zwierzątka i mył skórki. W 1974 r. miał trafić do «Maxima», ale to niemożliwe, bo ten klub powstał sześć lat później. A wtedy «Nikoś» handlował już samochodami [...].

Michał Antoniszyn był nazbyt złośliwy. Chuchrem „Nikoś” nie był, w dowodzie miał wzrost średni, w centymetrach – 177. Ważył blisko 80 kilogramów, co też

w powszechnie przyjętych kategoriach oznacza „średni”. Nie był jednak na pewno w połowie lat siedemdziesiątych uznanym bramkarzem czy wyróżniającym się urkiem. Na kilka długich lat pozostał w swojej branży jednym z wielu. Antoniszyn myli się lub świadomie wprowadza w błąd przy innej okazji – „Nikoś” był bramkarzem w klubie Lucynka. Potwierdzają to zupełnie niezależnie od siebie między innymi zeznania Henryka Konopki czy właściciela gospodarstwa ogrodniczego we wsi Orle, późniejszego sąsiada Skotarczaków – Jerzego Wellmana. O roli „Nikosia” – oficjalnie jako szatniarza, nieoficjalnie wykidajły – wspominał w rozmowie ze mną jego przyjaciel z młodzieńczych lat Roman Bakalarski. Nie zmienia to jednak faktu, że jeszcze w latach siedemdziesiątych możliwości „Nikosia” „na mieście” były mocno ograniczone. Z kolei z wybrzeżowym „Goliatem” – Henrykiem Koselem, wcześniej czy później musieli się zaprzyjaźnić. Potężną postać przygarbionego już wówczas Kosela można było dojrzeć 30 kwietnia 1998 roku na cmentarzu Srebrzysko, na którym odbywał się pogrzeb Skotarczaka.

Z pewnością relacja „Nikosia” z „Mecenasem” była permanentnie skomplikowana. W czasach, gdy Antoniszyn był już szefem Maxima, jako kierownika sali zatrudnił sekretarza prasowego redakcji „Głosu Wybrzeża” Jerzego Jaworskiego. Podczas jednego z przesłuchań w 1988 roku Jaworski w ten sposób odniósł się do znajomości obu pań: „Gdyby nie obecność Włodzimierza Groblewskiego, to znajomość Antoniszyna i Skotarczaka z pewnością skończyłaby się rozstaniem. Były to bowiem dwa przeciwstawne sobie charaktery. Zupełnie odmienne. Antoniszyn był spokojny, nie pił alkoholu, opanowany, a Skotarczak odwrotnie – nie stronił od alkoholu, kobiet, a poza tym był to pozer, osobnik pozbawiony wszelkich norm moralnych. Taka jest moja ocena. Moja znajomość ze Skotarczakiem nie była długa, ale znam ludzi, ponieważ

przez długie lata pracowałem z ludźmi”. Pijak? Dziwi się tej opinii córka „Nikosia” – Natalia. „Do początku lat dziewięćdziesiątych ojciec prawie nie pił. Podczas rodzinnych uroczystości miałam nawet czasami wrażenie, że był podпиты po jednej lampce szampana. Wszystko zmieniło się w latach dziewięćdziesiątych – wówczas alkoholu w jego życiu było naprawdę dużo”.

Z dyskotekowych bramek trudno było wyżyć na odpowiednim poziomie. „Nikoś” trudnił się także popularnym na Wybrzeżu obrotem nielegalnie wydobytym bursztynem. Sam nigdy nie kopał, jak przyznają eksperci branży bursztynowej w Gdańsku. Nikodem po prostu zajmował się wszystkim, co przynosiło zyski. A w latach siedemdziesiątych na gdańskim Wybrzeżu cywilizowaną, acz niezgodną z prawodawstwem PRL-u, odmianą przestępczej praktyki było właśnie wydobywanie i dystrybucja kopalnej żywicy drzewnej, czyli bursztynu. Najbardziej atrakcyjna odmiana tej kopaliny – bursztyn bałtycki, występował w dużych ilościach na południowych wybrzeżach Bałtyku, w tym w okolicach Zatoki Gdańskiej. W dzielnicy Gdańsk-Przeróbka znajdowały się tym samym jedne z największych w Polsce złóż „bałtyckiego złota”. Za ich eksploatację odpowiedzialny był oficjalnie urząd o skomplikowanej nazwie – Kombinat Wyrobów z Metali Szlachetnych i Bursztynu. Nieoficjalnie bursztyn kopały całe grupy zorientowanych w tym biznesie mieszkańców nadmorskich terenów. Pochodzenie nie miało znaczenia, w dochodowy bursztynowy biznes zaangażowały się z czasem całe klany – od szantraków z zaniedbanych przedmieść do dorabiających inteligentów. Trudno dostępne bagniste tereny okalające gdańskie dzielnice morskie, wysoki stopień kreatywności „dzikich” bursztynników, opłacalność procederu oraz trudności z zabezpieczeniem miejsc występowania bursztynu sprzyjały chłopakom z miasta. W miarę

upływu czasu „bursztyniarze” doskonalili metody działania. Efekty wkopów sondażowych i hurtowych kopień były coraz okazalsze. Jak to wszystko wyglądało, pytam byłego bursztyniarza, który zarobione w latach osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych pieniądze zainwestował w udany interes na gdańskiej Hali Targowej. Zapalił się, porwany wspomnieniami opowiada: „Korzystaliśmy z pożyczonych pomp i innych narzędzi strażackich, ale też z reflektorów scenowych, które służyły do oświetlenia miejsca wydobywania. Tu nam pomagali chłopaki z gdańskich scen artystycznych – w nocy scena jest pusta, a lasy pełne bursztynu. Korzystaliśmy też z prywatnych samochodów, a najlepiej nieewidencjonowanych wozów konnych oraz – nawet – z przenośnych bud z blachy na wzór garaży”. Metody nie zmieniały się przez lata. Wydobyty przy udziale tego sprzętu bursztyn sprzedawany był właścicielom warsztatów rzemieślniczych oraz chałupnikom. Jak wynika z milicyjnych statystyk, na terenie ówczesnego województwa gdańskiego (głównie Trójmiasta) znajdowało się 140 warsztatów przerobu bursztynu, w tym 29 sklepów i stoisk zlokalizowanych w rzemieślniczych domach towarowych. Milicyjne raporty przekonywały, że właściciele warsztatów wykorzystywali możliwość anonimowego skupu bursztynu i poza przydziałem nabywali znaczne ilości surowca. Po przerobieniu sprzedawali je najczęściej turystom z Zachodu oraz jubilerom z głębi kraju. Właściciele nielegalnych zakładów – chałupnicy, gotowe wyroby bursztynowe sprzedawali natomiast przed hotelami i domami towarowymi oraz na targowiskach. Ten rodzaj przestępczości w opinii komendanta wojewódzkiego MO ds. milicji w Gdańsku, pułkownika Andrzeja Stojka, był szczególnie niebezpieczny. Jak zauważył Stojek, „osiągnięcie znacznych zysków w stosunkowo krótkim okresie czasu oraz dewastacja terenów nadmorskich powoduje szczególne

zagrożenie w województwie gdańskim tą przestępczością oraz związanymi z nią ujemnymi zjawiskami”. „Nikos” nie był „królem bursztynu”, nie latał też szczególnie po lesie ze scenicznym reflektorem i pompą. Nie gardził jednak dystrybucją przetworzonej kopaliny – biznes jest biznes, liczy się zarobek.

Change money, change money rozlegało się na polskich ulicach w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Przed Pewexami, hotelami, na promenadach trójmiejskich ulic i targów faceci w jeansowych katanach lub jesionkach – wiosną oraz latem, w bomberkach i kożuchach – jesienią lub zimą, wymieniali waluty po korzystnych cenach. Można ich też było spotkać w sopockiej knajpie – ochranianej zresztą przez milicyjną grupę przestępczą – Marago, a także w Wikingu i Cristalu w Gdańsku oraz obowiązkowo w gdyńskim Maximie. Rekrutowali się z różnych środowisk, nie tylko przestępczych. Jak ustalił Daniel Wicenty, w cinkciarskim cechu można było spotkać osoby zatrudnione na przykład w tzw. sektorze nieuspołecznionym – malarzy, tapeciarzy i taksówkarzy. Oczywiście także byłych milicjantów i esbeków, w końcu pojedynczych przedstawicieli zawodów prestiżowych – lekarzy i nauczycieli. W największych ośrodkach w Polsce działało w różnych okresach od kilkudziesięciu do nawet trzystu waluciarzy. Dla przykładu, w końcówce lat sześćdziesiątych w samym Trójmieście milicja rozpoznała dziewięć grup cinkciarskich, w których zaangażowanych było 85 osób.

Różnica kursów walut świata kapitalistycznego i komunistycznego oraz wyraźny w PRL-u dysonans między rynkową wartością walut a ich kursem czarnorynkowym stworzyły cieplarniane warunki dla nielegalnej, acz tolerowanej przez władze działalności cinkciarzy. Państwu komunistycznemu, mimo ogromnych chęci, nie udało się utrzymać monopolu na walutowe operacje.

To nie był klasyczny komensalizm, w którym działalności waluciarzy milicja przyglądała się z obojętnością. To była pełna symbioza – milicjanci regulowali cinkciarski rynek, dokonywali selekcji, ustalali zasady. Nikt nie miał interesu w zwalczaniu nielegalnej wymiany walut. Cinkciarze cywilizowali przecież pobyt turystów w PRL-u, wypełniali lukę, jaką zostawił dla nich system. To nie waluciarze tworzyli walutową *mafię*, byli tylko narzędziem w rękach mafijnego systemu. Wypadło im po prostu robić rzeczy, które nie licowały z ustrojem „socjalistycznym”. Ich tak naprawdę nie było, nie istnieli, nie przewidziano ich w scenariuszu Polski „ludowej” wypełnionej frazesami o wolności, równości i braterstwie. Mimo to odgrywali swoją rolę, dostarczając Polakom oraz turystom satysfakcji, milicjantom zaś dodatkowego kieszonkowego. *Prosperity* dla handlarzy walutą rozpoczęło się jeszcze po 1956 roku, kiedy zjawisku sprzyjało osłabienie władzy komunistów, szersze, mimo że wciąż wąskie, otwarcie granic PRL-u, rozwój wewnętrznego eksportu i wprowadzenie bonów PKO. Po wejściu w życie ustawy karnoskarbowej z 1971 roku za nielegalny obrót złotem, platyną i dewizami groziło nawet pięć lat pozbawienia wolności i 2,5 miliona złotych grzywny. Taki interes bez współpracy z milicją i błogiej pewności, że ktoś nade mną czuwa, średnio się opłacał.

Czy bycie waluciarzem w latach siedemdziesiątych gwarantowało wysokie zarobki? Pytam starego trójmiejskiego cinkciarza, u którego wykonywany zawód jeszcze w latach dwutysięcznych uruchamiał endorfiny. W czasie Euro 2012 wciskał na mieście Hiszpanom, Irlandczykom, Włochom i Chorwatom stułotówki z Ludwikiem Waryńskim. Sto złotych za 20 euro to był dobry kurs... Spogląda w stronę morza z trzynastego piętra, z okna przestrzennego mieszkania, przekonując: „Przed wszystkim nie było żadnego ryzyka. My, proponując

nielegalny układ walutowy, wciągaliśmy zwykłych ludzi do swojego świata, z którego nie było wyjścia. Przecież jak zgadza się na kant i nielegalną wymianę na naszych warunkach, to nie pójdzie na milicję. Więc jak nas złapano za rękę, to dostaliśmy tylko po mordzie. I tak się opłacało”. Zarobki – jeśli można zaufać milicyjnym szacunkom – były naprawdę bardzo przyzwoite. W ciągu miesiąca sprawny waluciarz był w stanie zarobić dziesięciokrotność przeciętnej polskiej pensji, która wynosiła około 3–4 tysięcy złotych. Dodatkowe możliwości finansowe w sferze wymiany walut stwarzała zarobkowa emigracja przestępcza. Stolicą przemytników, waluciarzy i innych grup elementu przestępczego w całym bloku wschodnim był Budapeszt. Krzyżowały się tam drogi turystów, przestępców i towarów z dwóch światów podzielonych żelazną kurtyną. Sezon w Budapeszcie trwał niemal cały rok. Korzystali więc z niego polscy waluciarze, a ich środowiskowe życie z anonimowości i dyskrecji obdzierali wszechobecni agenci – zawodowi delatorzy, których w środowisku kryminalnym było niemało.

O waluciarzach z Trójmiasta ze upodobaniem donosili tajni współpracownicy „Bystry” i „Olek”. W rozmowach z funkcjonariuszami potwierdzili to, czego można było się spodziewać – polski element przestępczy wyjeżdżał na Węgry często na podrobione dowody osobiste. Dowód osobisty – do którego wpis pozwalał się poruszać po krajach „demokracji ludowej” – był dobrem pożądanym. Czym więcej dowodów, tym więcej możliwości, czym więcej możliwości, tym więcej pieniędzy. Czym więcej pieniędzy, tym więcej dowodów osobistych. W dowodach musiała się znaleźć informacja o zatrudnieniu. Ci, których zatrudniała w rzeczywistości budapeszteńska ulica musieli poszukać fikcyjnego zatrudnienia w PRL-u. Zaświadczeń udzielali im więc korzystający z przemytniczo-walutowych praktyk właściciele

warsztatów samochodowych, klubów sportowych, restauracji i dyskotek. Zdarzało się nawet, że zatrudnienie można było załatwić w zakładzie państwowym – w stoczni, porcie czy rafinerii.

Jak wyglądało ich życie na co dzień, opowiadał „Bystry” – „kręcimy się grupami wokół hoteli, lokali gastronomicznych i dworca kolejowego w Budapeszcie. Szukamy turystów z Zachodu, od których kupujemy dewizy i towary ze złota. Potem wwozimy je do Polski po to, żeby sprzedać na czarnym rynku po wyższej cenie. Przyszna, część transakcji to zwykłe oszustwa, rozbój lub kradzież. Ale – panie komisarzu – naprawdę staramy się wymieniać po ludzku”. Poza obrotem walutą zajmowali się przemytem brylantów na Węgry, skąd były one dalej wywożone przez Jugosłowian na Zachód. Do Polski przywożono zegarki elektroniczne czy szampon do mycia włosów. Zarobić można było na kalkulatorach wożonych między Wiedniem a Budapesztem. Właściwie zarabiali niemal na wszystkim, wymagało to jednak wyczucia koniunktury, rozeznania rynku, odwagi w łamaniu prawa i pomysłowości. Należało tylko zarobione na wajsze pieniądze zainwestować w deficytowy towar, wwieźć go do Polski i podwoić zyski. Czasem jeden porządny transport przynosił większy zarobek niż tydzień spędzony nad Balatonem czy na dworcu Kellesti.

Towarzysz Wierzbicki z KW PZPR, na którego biurko spływały raporty o trójmiejskich cinkciarzach, utrzymał sobie z czasem ich pseudonimy i krótkie dossier. „Chudy” z Łąkowej jeździł na zmianę łądą albo fiatem, „Bulon” i „Babol” mieszkali na Zaspie, „Jarema” był z Wrzeszcza, a „Koko” to stary złodziej i recydywista. Wszyscy świetnie zarabiają na Węgrzech, kumulują kapitał i nie myślą o przyszłości. Leją się regularnie między sobą – ci z Katowic przeciwko Trójmiastu, chłopaki z Wrocławia mają spięcie z krakowiakami, w końcu wszyscy przeciwko

krawaciarzom z Warszawy. Najmocniej w łeb dostał chłopak z Łodzi, w lesie go zbili, wieszali na pasku, jeździli po nim samochodem. Wszystko za nielojalność i 40 tysięcy forintów, które przywłaszczyli sobie „Sprytek”, „Judasz”, „Karol” i ich kolega Jugol – „Sasza”.

„Nikoś” odnajdywał się w klimacie nad Balatonem. W jego życiorysie znajdziemy wszystkie środowiskowe tendencje, o których esbekom, milicjantom i celnikom donosili tajni współpracownicy. Miał fikcyjne zatrudnienie. W samym tylko roku 1978, mimo że głównie „pracował” na Węgrzech, był formalnie zatrudniony w gdańskim porcie w charakterze kierowcy. Zatrudnienia Skotarczakowi udzielał ponadto Zbigniew Ostrowski, właściciel warsztatu samochodowego przy ulicy Chrzanowskiego w Gdańsku. „Nikosiowi” „zaginął” oczywiście kilka razy dowód osobisty! Dwa razy na Węgrzech i raz w NRD. Stało się to, np. gdy poszedł popływać na budapeszteńską Wyspę Małgorzaty. Zostawił koszulę z dowodem, zabrał tylko pieniądze. Koszula z dowodem zginęły, pieniądze się szczęśliwie uchowały... Zwrócił się o wydanie nowego, kolejnego dowodu osobistego. Zresztą od 1972 roku – kiedy jako osiemnastolatek odebrał pierwszy dokument tożsamości – do roku 1981 Nikodem Skotarczak posiadał siedem dowodów osobistych. Początkowo miał nawet problem z wypełnianiem wniosku o dowód, dlatego w 1972 roku w aplikacji dowodowej widać wyraźnie charakter pisma jego siostry Teresy. Nauka pisania szła mu ciężko, więc drugi wniosek wypisała Nikodemowi pierwsza żona – Gabriela. Kilka lat później o problemach „Nikosia” z pisaniem wspomni jeden z jego kolegów Jerzy Klockowski „[...] to że Nikodem prawie nie umiał pisać nie przeszkadzało mu w pełnieniu funkcji działacza społecznego”. Mimo trudności z pisaniem kolejne wnioski na dowód osobisty „Nikoś” wypisywał osobiście. No, może z wyjątkiem wniosku numer

pięć, kiedy pomogła mu żona numer dwa – Halina. Charakterystyczne, że zawsze, jak miał kogoś przy sobie, jeśli wypadało, to korzystał z pomocy przy wypełnieniu wniosku. Wnioski, których nie wypełnił, datowały się na czasy tuż przed śmiercią Gabrieli Lamek i tuż przed rozwodem z Haliną Ostrowską...

Działalność walutowa „Nikosia” nie różniła się od dnia codziennego „Judasza”, „Sprytka” czy „Babola”. Wiedzieli więc o nim także milicjanci. Komenda Wojewódzka MO w Gdańsku dostała wiele sygnałów o częstych wyjazdach Nikodema Skotarczaka na Węgry. Wiedział o nim sam naczelnik wydziału kryminalnego, piszący w jednej z notatek do wydziału paszportów: „[...] z posiadanych materiałów operacyjnych wynika, że drugostronnie wymieniony bardzo często wyjeżdża na Węgry, gdzie dokonuje przestępstw kryminalnych i dewizowo-przemysłowych. Zachowaniem swym naraża na szkodę dobre imię Polski. Jest organizatorem grup przestępczych wyjeżdżających na Węgry. Trudni się handlem obcą walutą i biżuterią”. „Organizatorem grup przestępczych”!? – oburza się Jerzy Kolasa „Simon”, kolega „Nikosia” ze wspólnych wypraw do Budapesztu, autor scenariuszy filmów *Sztos* i *Sztos 2*. „Nikodem był po prostu jednym z około 100 polskich cinkciarzy działających w Budapeszcie. Wówczas niczym szczególnym – poza siłą fizyczną – nie wyróżniał się z tej grupy. Z pewnością nie był żadnym organizatorem czy szefem” – przekonuje mnie podczas spotkania w pracowni tatuażu Maorys. Niezależnie od tego zarabiał dobrze. W październiku 1978 roku na koncie dewizowym w Banku Pekao SA Skotarczak zgromadził 1,5 tysiąca dolarów. Biorąc pod uwagę, że wyliczana przez władze stawka dziennego pobytu za granicą wynosiła wówczas 6 dolarów, „Nikosia” stać było – jak ustalił bank – na pozostanie w Szwecji przez 250 dni. Nie były to jedyne oszczędności „Nikosia” – gotówkę trzymał w domu, zakopywał

– jak wszyscy inni cinkciarze – w leśnych słoikach, teau-ryzował też, choć nie znał tego słowa, w zdobytym złocie i sprzęcie. Zarabiał miesięcznie kilkakrotność przeciętnej średniej polskiej pensji, wynoszącej w 1978 roku 4887 złotych. Jak na zwykłego obywatela – dużo, jak na rekina peerelowskiego biznesu – wciąż dużo za mało. Stać go było wprawdzie na biżuterię i na modne ciuchy. Spodnie z teksasu za 350 złotych, importowane z Austrii legendarne „blue jeans” kupował w Domu Handlowym „Neptun” przy ulicy Grunwaldzkiej (107/109). Do tego najczęściej swobodna, ale łącząca dzięki kołnierzykowi nutę elegancji ze sportowym luzem, koszulka polo. W nowym domu, o którym za moment, odtwarzacz wideo – symbol luksusu i bliskości zachodniego świata. Wideo pożerało kasety z kolejnymi obcojęzycznymi filmami, mówiącymi głównie o powszechnych skłonnościach do przestępczości i rozbudzonych odruchach miłości. *Ojciec chrestny* Francisa Coppoli i *Chinatown* Romana Polańskiego uwalniały fantazje walących w stół kartami drobnych przestępców. „Nikoś” w końcówce lat siedemdziesiątych żył więc dość swobodnie, robił to, co lubił, zarabiał godnie. Był zadbanym, dobrze ubranym waluciarzem, przemyt-nikiem i złodziejem. Marzył jednak o czymś większym – wyjątkowej pozycji w przestępczym półświatku, złodziejskim splendorze, o władzy nad trójmiejską ulicą. Do tego było jeszcze daleko...

Śmierć, śmierć i nowe życie

Rodzinne życie Gabrieli i Nikodema Skotarczaków nie trwało zbyt długo. Trzeciego listopada 1977 roku, gdy Piotr miał niespełna dwa lata, Gabriela jako 3079 osoba

tego roku w Gdańsku zakończyła swoje życie. Przyczyn jej zgonu nie wyjaśnił do dziś żaden z dostępnych dokumentów. Wokół przyczyn śmierci pierwszej żony „Nikosia” błądzą do dziś kolejni publicyści i fani *gangsterskich* historii PRL-u. Werner Rixdorf, niemiecki dziennikarz, z dużą dozą pewności napisał, że pierwsza żona Skotarczaka umarła przy porodzie córki. Problem w tym, że o swojej nienarodzonej siostrze nigdy nie słyszał Piotr Skotarczak, który, kierując się rodzinnymi opowieściami, jako bezpośredni powód samobójczej śmierci matki uznaje jej depresyjne stany. A na te na pewno dobrze nie wpływały kolejne romanse męża. Sprawy nie wyjaśniają dokumenty, a wśród nich „Zezwolenie na pochowanie zwłok” wydane przez Prokuraturę Rejonową w Gdańsku. Zezwolenie wydano po sekcji zwłok, którą sporządził lekarz Aleksander Dubrzyński. Niestety „Odpis zaświadczenia o wystawieniu karty zgonu” wykonany przez lekarza Dubrzyńskiego jest bardzo nieczytelny. Widać na nim wyraźnie jedynie dopisek w prawym górnym rogu – „noworodek”, zbliżający nas do tezy Rixdorfa o nieudanym porodzie, lub tylko sygnalizujący, że denatka była matką „noworodka”. Choć to nieprecyzyjne, bo Piotr miał około półtora roku – nie był więc już nawet niemowlakiem, a tym bardziej noworodkiem. Jest jeszcze jedna hipoteza, chyba najbardziej prawdopodobna. Świadkowie odnalezienia zwłok Gabrieli przekonują, że odebrała sobie życie w rodzinnym mieszkaniu Skotarczaków przy ulicy Raławickiej. „Powiesiła się na klamce od drzwi łazienkowych i kaloryfera” – słyszę. Jeśli więc zestawimy dopisek w rogu zezwolenia na pochówek zwłok ze słowami Wenera Rixdorfa, który przekonuje, że Gabriela Lamek umarła przy porodzie, najbardziej logiczne okaże się założenie, że denatka w momencie odebrania sobie życia była po prostu w ciąży... Oczywiście, jak zawsze w tego typu wypadkach, lekarz Aleksander Dubrzyński

nie żyje (zmarł w roku 2000) i nie opowie o przyczynach śmierci Gabrieli Lamek. Z kolei Prokuratura Okręgowa i Rejonowa w Gdańsku solidarnie zapewniają, że żadne dokumenty w tej sprawie się nie zachowały. Nie zmienia to faktu, że w tym szarym i chłodnym dniu, 3 listopada 1977 roku, rozpoczęła się seria tragicznych zgonów, które w ciągu kolejnych ponad dwudziestu lat będą eliminowały najbliższe osoby z kręgu Nikodema Skotarczaka.

Śmierć Gabrieli Lamek i natura Nikodema Skotarczaka nie dały małemu Piotrowi szansy na dzieciństwo spędzone przy rodzicach. Od urodzenia wychowywali go dziadkowie – Izabela i Stanisław Lamek. Tym bardziej że „Nikoś” krótko po śmierci pierwszej żony był zdeterminowany, aby związać się z urodziwą szatynką Haliną. Kobieta była dla niego atrakcyjna również ze względów biznesowych. Połączenie możliwości Haliny oraz umiejętności i kapitału gromadzonego przez „Nikosia” na wajsze, przemyśle i handlu miało spory przedsiębiorczy potencjał. Halina odegrała w zawodowym życiu „Nikosia” rolę fundamentalną. Gdy wychodziła za Nikodema, mimo że oficjalnie utrzymywała się z renty sieroczej po śmierci męża, była już właścicielką dużego domu, podczas gdy „Nikoś” jeszcze niedawno pomieszkiwał z żoną i dzieckiem w domu rodziców.

W matrymonialnych planach „Nikosia” nie pomagał zapewne Stefan Matkowski, były marynarz – ochmistrz z czternastoletnim stażem prowadzenia wyrafinowanej jak na warunki Polski „ludowej” gastronomii na morzach całego świata. Matkowski był kolegą zmarłego niedawno męża Haliny Ostrowskiej – Ryszarda, ale przede wszystkim właścicielem pozostającej wówczas w budowie klubokawiarni na gdańskiej Zaspie. Stefan Matkowski, po śmierci Ryszarda Ostrowskiego, wiązał podobno z wdową Haliną poważne plany biznesowe, a – jak twierdzili niektórzy informatorzy służb – także osobiste.

„Panie Stefanie – pytam w 2017 roku Stefana Matkowskiego – jak to było z Panem i Haliną Ostrowską?”. Odpowiada... „Po śmierci Ryśka Halina poprosiła mnie, żebym pomógł dokończyć budowę «Karaweli» – trzeba tam było męskiej ręki, kogoś, kto zna się na gastronomii. Byłem gotowy pomóc, tym bardziej że przyjaźniłem się z Ryśkiem, a Halina mi się podobała – była bardzo grzeczna i kulturalna. Ruszyłem nawet z pracami, ale zorientowałem się, że obok Haliny mocno się kręci «Nikoś» i jego grupa cinkciarzy, widziałem, że między nim a Haliną coś jest. Dałem sobie święty spokój, skupiłem się na budowie mojego klubu”. Matkowski nie potwierdza tym samym informacji z akt operacyjnych, według których w podjęciu odpowiedniej decyzji pomógł mu „Nikoś”, sugerując stanowczo, że Halina należy do niego.

Niezależnie od kontekstu efekt był taki, że Stefan Matkowski odpuścił kawiarnię Karawela oraz jej właścicielkę. Decyzja okazała się błogosławieństwem dla trójmiejskich dyskotekowiczów – po sześciu latach budowy, już w stanie wojennym, Matkowski otworzył klub *Romantica*. Luksusowe, radosne i kolorowe wnętrza, prowadzany przez marynarzy z różnych zakątków świata dyskotekowy asortyment, toczone meble, błyskotki, lampy disco i żyrandol jako efekt współpracy sześciu różnych zakładów rzemieślniczych. W końcu konsultowany z pracownikami Politechniki Gdańskiej sprzęt akustyczny. *Romantica* w latach osiemdziesiątych to był luksus korespondujący z popularnym *Maximem*. O otwarciu lokalu informowała w samych superlatywach pomorska prasa: „[...] Funkcjonalne i estetyczne wnętrza, dużo zieleni, sprzęt akustyczny najwyższej marki, elektronicznie regulowane oświetlenie, znakomicie działająca klimatyzacja – to tylko niektóre elementy wyróżniające nowo powstały lokal spośród podobnej klasy (I kategoria). Można tu będzie dobrze zjeść (18–4), popić herbatę (z cytryną!) lub



„Nikoś” jeszcze zanim został znanym gangsterem; przełom lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych.



Nikodem Skotarczak senior, ojciec „Nikosia”.



Zofia Skotarczak, matka „Nikosia”.





Ślub „Nikosia” z pierwszą żoną Gabrielą Lamek.